

51182

Pracownia Śląska

Nr. 6.

Rok 1889.

MIESIĘCZNIK

PISMO

DLA SMIECHU I ZABAWY.



N. Piekary,
Wydawca i redaktor Fr. Schwider.
Czcionkami drukarni „Gwiazdy Piekarskiej,”
1889.

Cena 15 fen.

51182.1889 nr 6

I



MIESIECZNIK

DLA SMIECHU I ZABAWY.

Nr. 6. Niem. Piekary, 15-go listopada. 1889.

Dziad Chleburad

i jego przygody.

(Dalszy ciąg. — Zobacz Nr. 5.)

— Ny! Chleburad, gdzie ty tak długo siedział? A butelki odstawileś, co?

— Gdzie tam, moskale mnie złapali i zawarli do kozy, ledwo z życiem uszedłem, bo mię chcieli na Sybir wysłać... Bąknął Chleburad.

— Aj waj! Co ty gadasz, po coś ty poszedł do moskalów, ty galan!

— Do kroć set, czy to ma być zapłata Mošku, za to że się dla was moskalom naraziłem? Należcie mi lepiej półkwarterek wódki, i dajcie co przekąsić, bo mi brzuch od głodu aż piszczy.

— O tem potem, teraz tylko gadaj prędko gdzie moje butelki podziałeś? Naglił żyd Chleburada.

— Ano, moskale je zebrali.. Odrzekł z spokojną miną dziad...

— Co?... herste Rifke!.. Ty ganew, a czemuś ty nie uciekł.. Aj waj! co ja będę robić? Chleburad ty złodziej, wiesz coś mi ty za szkodę



zrobił? Jak mi ty to nagrodzisz? Złościł się żyd szarpiąc się za brodę.

— Za co ja wam nagrodzić mam Mošku, czyż ja za to mogę że mię moskaliska złapali i obdarli? Przeto nie marudźcie, ale mi zapłaćcie za moją turbabacyję, a przedewszystkiem, dajcie mi co zjeść i wypić, bo mi żołądek od głodu zdycha...

— Jaki ty głupi Chleburad, odparł żyd a oczy mu się aż iskrzyły, niedość, żeśmi zrobił tak wielką szkodę, to jeszcze nie wstydzisz się żądać zapłaty? Niech tobie djabli wezmą za moją krzywdę; a ruszej mi ztąd, że cię moje oczy więcej nie ujrzą! — Krzyczał Mosiek, biegając gwałtownie po karczmie. Chleburad widząc, że w dobroci nie od żyda nie uzyska, postanowił, próbować po złości.

— Żydzie! jak mi nie dasz przynajmniej talara i pół kwarty wódki, to ci całą brodę i wszystkie kudły z łeba oberwie — wrzasnął Chleburad, aż szklanki zabrzęczały. Na co Mosiek otworzył drzwi z karczmy na drogę, mając zamiar dziada wypchnąć za nie. Gdy w tem Ryfka, piękna połowica Moška w tłoczyła się z kuchni do szynkowni, zaniepokojona wrzaskiem dziada. Była to żydowka małego wzrostu, ale niezmiernie gruba czarna i brudna, a na dobitkę tu i owdzie wyrastające czarne wasy, po jej twarzy, czyniły ją brzydką i wstrętną. Poznała ona od razu intencję Moška, co z Chleburadem uczynić zamyśla, i szła jakby na komendę mężowi z pomocą, Mosiek z jednej a Ryfka z drugiej strony, chwycili z boków dziada, pchając go ku drzwiom. Tenże widząc, że to nie przewleki, otrząsł się tak gwałtownie i szturchnął żydówkę łokciem w piersi, że legła jak

pień na podłogę. Co widząc Mosiek, puścił dziada i biegł ratować leżącą żonę. Kłękawszy obok, począł ją dźwigać, w tem Chleburad dopadł go za konierz z tyłu i przewrócił na ziemię.

— Aj waj! gwałt! rabuś! zbójca! ratunku, ratunku! — krzyczał żyd.

Lecz Chleburad na to nie zważając przycisł Mośka ciężarem swego ciała do ziemi, dławiąc go i rwiąc za brodę i włosy, aż Mośkowi oczy na wierzch wyszły, a od bólu coraz głośniejsze ratunku wołał. Tymczasem Ryfka powstawszy jakoś, dopadła berła Chleburadowego i wymierzyła się, żeby go z całej siły w tył uderzyć, lecz zamiast tego, uderzyła w kolano Mośka, co ją wprowadziło w tem większą złość i rządę zemsty na Chleburadzie, wymierzywszy drugi raz, zajęła berłem szklanki i butelki na szynkfasię stojące, i strąciła je na ziemię, sprawując ten brzęk i stuk niesłychany.

— Gore! ogień! ratunku, ratunku! — Wołał teraz Mosiek głosem przerywanem. Chleburad poznawszy jak niebezpieczną broń ma w ręku Ryfka, puścił żyda, który skoro się tylko uczuł wolnym, palnął do drzwi i już go nie było. Ryfka widząc, że jej małżonek tak chaniebnie ją opuścił na placu boju, rzuciła berło Chleburadowi pod nogi i poszła za przykładem walecznego swego męża, zamknawszy się na klucz w kuchni. Dziad odetchnął swobodniej i rzucił się szturmem do butelek z wódką w półce stojących, nalał sobie do kwarty i dużkiem przewrócił, potem dopadł jeszcze butelki piwnej, nalał sobie pełną i ukrył w torbie z koziej skóry, którą zawsze przy boku nosił. Gdy już miał u-

mykać padł wzrok jego na wiszące kielbasy na ścianie pod sufitem, natychmiast sięgnął berłem jedną parę i wpakował do torby, potem spiesźnie, jakby nic nie zaszło, opuścił Moшковą karczmę.

Za dobrą godzinę odważył się dopiero Mosiek wyjść ze swej kryjówki, gdy wstąpił do karczmy, zastał tam już swoją Ryfkę całą i bez srkody, ale za to Mosiek miał brodę na pół wyszarpaną i sińce na szyi. Żyd chciał to Chleburadowi płazem puścić, ale Ryfka koniecznie nalegała, żeby go do sądu oddał. Biedny Mosiek był teraz w opałach ze dwu stron: z jednej bał się zemsty dziada, gdy go do sądu odda, a z drugiej Ryfka groziła, że mu resztę brody oberwie, co było robić? Usłuchał żony i oddał dziada do sądu, za napad i kradzież, a Ryfkę postawił za świadka. Sąd skazał Chleburada na pół roku do aresztu.

Dziad sobie wprawdzie z tego nie wiele co robił, nie miał był kontenty, bo znalazł na zimę przytułek wygodny, nie potrzebując żebrać.

W więzieniu chociaż Chleburad dostał do syta jeść, jednak mu się okrutnie styskało, bo nie miał tam wódki, do której się tak przyzwyczaił, jak ryba do wody. Z początku zdało mu się, że tego wcale nie przetrzyma, że musi umrzeć z tęsknoty. Gdy jeden, drugi, trzeci dzień wódki nie pił, to aż omdlewał z pragnienia, później włosy sobie rwał z brody i głowy z rozpacz, nawet szalał formalnie, bo sobie ręce gryzł, drząc na całym ciele, jak we febrze, głową o mur bił, nawet dozorcę który mu jeść nosił napadł raz, chcąc uciec z więzienia, ale mu się nie udało; bo dozorca będąc silnym mężczyzną, zmógł Chleburada i jeszcze mu

porządnie skórę wygrzmocił. Nie wiedząc sobie wtedy już żadnej rady, począł płakać dziad całą gębą jak dzieciak, co wpłynęło nań uspokajająco. Dozorca zaciekawiony awanturami Chleburada, wy- badał go, o co by mu chodziło. Dowiedziawszy się, że o wódkę; ulitował się nad nim, i chociaż się narażał na utratę swego stanowiska, gdyby się wydało, gdy mu Chleburad poprzysiągł, że będzie milczał jak grób, i nikomu nie wyjawii tego, przyniósł mu dozorca w dzbanku od wody pół kwarty wódki. Chleburad rzucił się jak wściekły do dzbanka i jednym susem wszystko wychylił. Po- tem długo, długo jeszcze dzbanek przechyłał, aż do ostatniej kropelki wszystko wyssał. Na ostatku urwał strzep z ubrania swego i wycierał nim dzba- nek a później go wysysał. Z czasem jednak za- pomniał cokolwiek o wódce i mniej tęsknił za nią, aż szczęśliwie przeminał mu czas więzienia jego. Chociaż prawdę mówiąc to pół roku zdało mu się tak długie, jak całe życie. Do dozorczy często mo- wił, że go dłużej trzymają w więzieniu, jak był osadzony, że te pół roku już kilka razy odsiedział.

Po wyjściu z więzienia wziął się znów Chle- burad na stary sposób do żebrania, przysięgając sobie, strzedz się na przyszłość, dostać się znów do więzienia. Najbardziej go jednak bódkło to, że nie mógł do Polski wychodzić, bojąc się moskali. Bo z tamtąd to zawsze najobfitsze nosił plony swego żebraczego rzemiosła. A osobliwie odpusty na Jas- nejgórze przynosiły mu po kilka a nawet kilka- naście rubli w gotowiznie, których mu teraz nie- dostawało. Długo się wachał, ale wreszcie po kilku latach się odważył. Było to na Wniebo-

wzięcie Matki Boskiej. Wieczorem przeszedł kryjomię granicę, a idąc albo raczej podząc całą noc bezludnemi stronami i lasem, dostał się rano szczęśliwie na Jasnągórę. Gdy przyszedł na swoje miejsce, które dawniej zajmował, znalazł tam innego dziada, porażonego na całym ciełe, z przyrośniętą brodą do piersi. Chleburad kazał mu ruszać z miejsca, ale tenże nie chciał ustąpić odwołując się na to, że tam już kilka lat siada a Chleburad, tam wcale nie bywał, to też nie ma żadnego prawa. Ale Chleburad nie pytał, tylko chwycił dziada obiema rękami za kark i postawił go na środku drogi. Dziadek nie mogąc się inaczej bronić począł krzyczeć na całe gardło. Przechodzący ludzie poczęli stawać dopytując się o przyczynę tego krzyku. Dziady poschodziły się wszystkie na to miejsce krzycząc i skarząc ludzom na Chlebrada, bo byli w obawie, że im znów najlepsze kąski pozabiera, tak jak dawniej. Krzykiem tem i zbiegowiskiem zakonnicy zaniepokojeni w klasztorze, wysłali zakrystyana dla zbadania przyczyny tego. Zakrystyan widząc butną minę Chleburada, który nie myślał ustąpić, bo niedbając na nic, spiewał swoim basowem głosem:

„W wielkiej mej biedzie i potrzebie

Wołam do Ciebie o Panie!“ i. t. d.,

posłał po policyą, aby pana brata usunąć, dopiero widząc Chleburad nadchodzących żandar-mow, co tchu skoczył na wały, spuszczaając się z tam tąd do fosow, gdzie furtką ku Częstochówce wyszedł po za obszar klasztorny, zmykając ile mu sił starczyło.

Nie miał jednakże wyjść cało Chleburad z tej awantury, bo gdy z półtory mili od Częstochowy

mijał pewną wioskę, wlaźł właśnie na dwóch moskali jadących konno, byli to urzędnicy celni, z których starszy zaledwie Chleburada zobaczył, wydał dziki okrzyk i prosto na niego uderzył. Był to ten sam urzędnik, którego przed laty Chleburad krukwią tak niebezpiecznie na dróźnie uderzył i zrabował. Poznał go natychmiast. Chleburad widząc że tu nic nie poradzi, oddał się moskałom na łaskę i nie łaskę. Wzięli go i zaprowadzili do miejscowego wojtą, gdzie mu wydzielono 50 pałek, a zamknawszy kazali wójtowi pilnować go, ażeby został do Częstochowy do więzienia odprowadzony, dla otrzymania należytej kary, sami zaś mieli pilno odjechać w inną stronę. Wójt zamknął Chleburada do ciemnej komory z małym okienkiem mającym żelazne sztaby, gdzie przesiedział o głodzie aż do nocy. Kiedy już wszyscy spali wsunął swoją na końcu żelazem okutą krukiew pomiędzy sztaby i wykręcił je, poczem sam jak węgorz wysliznął się okienkiem z komory i nad ranem jeszcze przybył do domu.

Od tego czasu zapalał Chleburad taką nienawiścią do moskali, że kiedy w roku 1877 wybuchła wojna turecko-rosyjsko, on udał się pieszo do Turcyi, gdzie się zaciągnął w szeregi Osmana paszy i walczył jak lew pod Plewną i sam własną ręką kilkadziesiąt moskali zastrzelił, co widząc Osman pasza zaszczycał go coraz wyższą rangą. Zresztą nie wiadomo czy Chleburad poległ na poboju Plewny, czy żyje do dzisiaj w służbie tureckiej.

K O N I E C.

Jako Janek niechcący morskim rozbójnikiem został.

Janek miał wielki pociąg do życia na morzu. Zaraz też po śmierci rodziców, którzy mu wcześniej odumarli, nie miał nic pilniejszego jak puścić się w podróż do Hamburga, gdzie został chłopcem okrętowem na trzechmasztowym statku „Helenie.“ Kapitan okrętu polubił wkrótce Janka, bo był chłopiec ręczny i zwinny a zarazem dosyć wykształcony. Posłuchajmy jego przygód, które on sam, jak następuje, opowiada.

Po pierwszej szczęśliwej podróży, właśnie gdyśmy mieli wypłynąć z portu Manili, nadszedł rozkaz, abyśmy jeszcze zamiast do domu, do miasta Petropawłowska na Kamczatce podróżowali. Droga morską z wysp Filipińskich jest dwojaka: małe okręty płyną wzdłuż brzegów; najprzód na Formozę, dalej na półwysep Korea a wreszcie na rosyjską wyspę Sachalin. Ale takie okręty jak nasza trzymasztowa „Helena,“ jadą wprost, przez środek wielkiego oceanu. Ale zaledwieśmy kilkadziesiąt mil upłynęli, gdy się zerwał straszliwy wicher północno-wschodni. Mieliśmy okropną noc, rano zoczyliśmy, że nasz okręt znacznie ucierpiał od burzy, naprawa była koniecznie potrzebną; musieliśmy zawinąć do portu Szanghai, który był najbliższy na chińskim wybrzeżu. Po trzech dniach naprawy mogliśmy płynąć dalej, ale nasz kapitan teraz, zamiast prostej drogi przez środek, wolał jechać drogą wzdłuż chińskich brzegów.

Gdyśmy na Japońskie wody wpłynęli, powiadano nam że nasza podróż niepewna, bo tam morscy rozbójnicy gospodarowali. Ostrzeżenie to wprawilo naszego kapitana w wielką radość. Bo jak sam mówił: „choćby tam były tysiące djabłów morskimi rozbójnikami, to on musiałby przez ich środek przejechać.“ My zaś młodzi junacy, bylibyśmy mu naturalnie towarzyszyli niewiedzieć gdzie, choćby nawet do samego piekła. — Na wodach tych jest podróż bardzo uciążliwa dla żegla-

rza, tak, że mimo diabelnej odwagi, można z śmiercią się napotkać. Chińczycy mają w tem przysłowie następujące, że kogo w japońskim morzu wiatry nie pochłonią, tego zjedzą piraci (morscy rozbójnicy), a kto piratom ujdzie, tego wiatry zmiążdżą. Tam się każdy sternik może gruntownie nauczyć swej sztuki, bo każdej chwili wieje tam wiatr z innej dziury. Jednego dnia nie wiał zaś wcale, ani troszki, to jest była cisza zupełna, staliśmy więc jak przykuci na gładkiej wodzie jak zwierciadło. Było to do zwątpienia! Tylko pan kapitan nie tracił swego humoru. On zawsze musiał mieć jakąś osobliwość. Pewnego dnia stoję opodał pana kapitana przyglądając się latającym rybom, które na okół okrętu z wody wylatowały a często i na pokład okrętu spadały, gdy naraz pan kapitan woła: „Janku chodź no tu do mnie! Zobaczysz coś!“ Można sobie wyobrazić, za jaki zaszczyt sobie to policzyłem w obok pana kapitana sobie usiąść! „Co tam widzisz?“ zapytał mię pan kapitan wskazując palcem na północnowschód. Bylbym sobie niemal oczy wypatrzył.

„Może jakie wysokie drzewo“, odrzekłem. „A bajki“, rzekł p. kapitan i podał mi swój dalekowsz. Był to okręt. Dziwny egzemplarz: nizki szeroki i prawie bez masztów. A żagli miał, jak zapaska u lalki, i pomykał się tak powoli i zgniło, jak morski pajak, po wodzie. „Co myślisz o tej szalupie?“ odezwał się kapitan, sądzisz, że wieże pomarańcze z Japonii do Chin? To są morscy rozbójnicy.“ I Rzeczywiście, karzelek ten przybliżał się ciągle ku nam, co było igraszką na gładkim morzu. Za jaką godzinę przybliżył się do nas na odległość rozmowy. Przygotowaliśmy się należycie na tę wizytę. Gdyby biedacy byli wiedzieli, że „Helena“ ma cztery zupełnie nowe dwunastofuntowe działa, byliby sobie trudu oszczędzili. Pozwoliliśmy się im przybliżyć spokojnie, odkryliśmy tylko paszcze dział, a gdy na nas wołano, odpowiedziliśmy im strzałami i więcej nic. Zabawne to było, gdy taki karzelek nam stać kazał, żądając papierów do rewizyi. Był to podstęp, gdyby się kto z nimi wdał,

to by wstąpili powoli na okręt, a potem „bywaj zdrów“. Śmialiśmy się widząc, jak piraci z pokładu swego okrętu wyblyszczali oczy na nasze działa a potem z długimi nosami spiesźnie z miejsca ruszali, cała walka trwała zaledwie kilka minut. Sprawila nam jednak wśród jednostajnego nudnego dnia, ucieśzną rozrywkę. W nocy zato miało inaczej nastąpić z tą odmianą. Właśnie siedziałem u góry na warcie, czekając na zluzowanie, gdy wtem nadszedł z północy gwałtowny szturm, który naszym okrętem zakręcił tak, że się wiercił do koła, jak tancerka na scenie, gdy się rozkołysze.

Księżyc i gwiazdy znikły naraz jak świece za jednym podmuchem. Nastąpiła prawdziwa egipska ciemność. Chłopiec będący na warcie u góry na głównym maszcie spadł na pokład i stał się niezdolnym do pełnienia służby, musiano go odnieść do kajuty. Kapitan który tu właśnie nadszedł, zawołał: „Janku wnijdź tam do góry i pilnuj! Zdaje się, że tej nocy będzie taniec, do którego szatani grają!“ — Ja nic nie mówiąc wdrapałem się do góry, nie widząc nic; okręt płynął niby w jakim grobowcu. Wicher szalał raz z tej, to znów z drugiej strony, miotając okrętem po morzu jak piłką, a deszcz padał taki gorący jak herbata wprost z kipiącego samowaru.

Naraz przewrócił się okręt na bok i zanurzył wszystkie maszty we wodzie, jakby tam liny opłókać chciał. Z Trudnością mogłem tylko utrzymać się na moim posterunku, bo mię dzikie bałwany zabrać chciały.

„Głupstwo“ pomyślałem sobie, gdyby się jeszcze raz miał okręt tak pochylić, to nie zdołałbym się utrzymać, chciałem się więc na pokład spuścić, gdy wtem drugi jeszcze większy bałwan znów okręt na stronę przewrócił z taką siłą, że jak kamyk rzucony z procy, wypadłem z mego stanowiska. Przestałem dychać nie widząc, niesłyszając nic, ani wiedząc co się ze mną stało, czułem tylko że spadam gdzieś w przepaść, w tem uczułem silne wstrząśnienie, z powodu uderzania na jakiś twardy przedmiot, przez co straciłem przytomność. Gdy ja znów odzys-

kałem, było już rano, wiatr ustał, a po wierzchnia morza była gładka jak zwierciadło. Ale gdzież ja byłem? Toć to pokład okrętu na którym się znajdowałem nie był pokładem naszej „Heleny“? Leżałem jak przyśrubowany pomiędzy dwiema ogromnemi pakami lin.

Na maszcie po nademną powiewała pstra szmata o nieznanych mi kolorach, także ludzie okrętowi mówili niezrozumiałem mi językiem. Długo trwało nim zdołałem moje wszystkie zmysły zebrać i przypomniałem sobie, że z samego wierchu głównego masztu „Heleny“ spadłem gdzieś, podczas nocnej burzy. Teraz dopiero poznałem z niemałym strachem, że się znajduję na pokładzie okrętu morskich rozbojników, którzy dzień poprzednio „Helenę“ zaczęli chwili.

„Bywaj zdrów Janku“ pomyślałem; ale jakim sposobem ja się dostałem tam? Pewno burza tak samo miotała zbójcekim okrętem jak Helenę; i wtenczas gdy ja zleciałem z masztu w morze, musiał się w pobliżu „Heleny“ znajdować, a bałwan który mię uniósł, wrzucił mię na niski pokład zbójcekiej szalupy. Boć złowić mię chyba nikt nie mógł wśród szalejących elementów przy czarnej jak kruk nocy, a tem mniej rozbojnicy, których zostałem niespostrzeżcnem gościem, bo inaczej byli by mię z pewnością powiązali i u dołu gdzie zamknęli, albo krótki proces z osobą moją zrobili.

Przetałem oczy i chciałem powstać ale to jakoś nie szło, bo prawy bok przy owem Salto mortale (skok śmiały, niebezpieczny) stłukłem sobie, a noga wisiała mi sztywna i zimna jak kawał lodu. Miałem bardzo ciężką godzinę, jakiej przedtem w młodem wieku nie zaznałem, bo, że zbójce ze mną wielkiej ceremonii robić nie będą, to byłem tego aż nadto pewny. Tymczasem długo trwało nim zostałem odkryty, piraci musieli podczas złej nocy nie spać, więc teraz chcieli sobie widocznie nagrodzić, z resztą zdało się, że każdy robił co chciał, nie trzymając żadnego porządku, co na mnie będącym przyzwyczajonem na „Helenie“ do jak największego porządku, czyniła ta psia gospodarka na pokładzie

zbojców, niemiłe wrażenie. Wreszcie zobaczył mię jeden hultaj w mej kryjówce. Można sobie wyobrazić ten ryk, jaki wskutek tego wszczął, i zaraz cała czereda szubieniczników mię obstała, dziwując mi się niezmiernie, teraz domiarkowałem się, że po hiszpańsku pomiędzy sobą szwargotali, Jeszcze dziś mam w pamięci widok owych urwiszów, z których może niejeden już na szubienicy wisiał.

A jakie było ich ubranie, jākby gromada kome-dyantów podczas Zielonych świątek w mieście, albo osoby na balu maskaradowym. O ile się dorozumiewałem, naradzali się, co ze mną uczynić: czy przebić, albo obwiesić, albo po prostu do morza rzucić, jedni dedukowali, że podług prawa powinienem być zastrzelony. Nareszcie zawezwano herszta, żeby on rozsądził co ze mną zrobić. Poznałem go od razu, po żółtej płóciennej koszuli i zielonej aksamitnej kurtce jak go dzień przedtem z pokładu „Heleny“ na zbojeckim pokładzie widziałem.

Był to wysoki, muskularny, ładnie zbudowany mężczyzna. Gdyby nie tygrysie oczy w których się jakiś tajemniczy ogień palił; można go było nazwać pięknym. Wielka ogorzała twarz, z wystającym, orlem nosem i czarnemi jak smoła wąsami, była imponującą. Postępował on zupełnie inaczej jak ci drudzy zwyczajni wisielcy, chcąc mię wybadać. Naturalnie nie mógł się nic dowiedzieć odemnie bo po hiszpańsku mówiłem prawie tyle co po hiszku. Na co on wstrząsł gniewnie ramionami i pokręcił głowę niezadowolony, zrozumiałem, że poznał z kąd się na jego okręt dostałem i chciał się z pewnością co o „Helenie“ dowiedzieć, która teraz pysznie jak łabędź ku północy płynąc, z powierzchni nam znikła. Łzy z ocz mi trysnęły na ten widok i cała groza mego fatalnego położenia mi się przedstawiła. Nadzieja jakiego kolwiek bądź ratunku dla mnie znikła, więc nie dbałem o to co zbóje ze mną robią.

Zbóje tymczasem naradzali się dłużej jak pół godziny co ze mną zrobić, herszt jednakże nie brał udział w tej naradzie, odszedł on na przeciwną stronę z Chin-

czykiem, który był sterownikiem okrętu, rozmawiając z nim coś po cichu, może o innych rzeczach, nie o rodzaju mej śmierci. Zbójce też jakoś porozchodzili się w różne strony nie troszcząc się już o mnie. Uciec im naturalnie nie mogłem, bo gdzie? jako? Gotowałem się więc na jakąkolwiek śmierć, żeby umrzeć mężnie.

W tem przypadł do mnie jeden z piratów i kiwał mi, żeby pojsć za nim. Chciałem wstać, ale jakoś nie szło, noga wypowiedziała mi posłuszeństwo. Wziął mnie więc pod ramię, litując się nademną, szeptał sam do siebie „pauvre diable!“ (biedny djabie) po francusku. Zawiódł mnie do kajuty herszta, teraz mogliśmy się cokolwiek zrozumieć, bo piratowi, który mnie wiódł oświadczyłem, że mówię cokolwiek po francusku, nauczyłem się bowiem tego języka na St. Pauli, gdzieś my zimowali kilka miesięcy, a znajdowało się tam wiele majtków francuzkich, którzy nas swej mowy uczyli.

Nie miałem być powieszony, ni utopiony ani zastrzelony, lecz towarzyszem zbójów zostać miałem! bo na ludziach a osobliwie na tęgich majtkach im zbywało. Gdy się to dowiedziałem wstąpiła nowa nadzieja we mnie, bo myślałem sobie, że się może nadarzyć sposobność, gdzie mnie Bóg jakoś wybawi z tego nieszczęścia. Powiedziałem więc hersztowi, iż się namyszę. Gdy mu to pirat przetłumaczył, rozśmiał się głośno, zaklął po hiszpańsku i po brodzie się pogłaskał i rzekł, że ma wiele roboty dla mnie, mam tylko patrzeć, żebym jak najprędzej był zdrowy, potem przekazał mi kajutę i opiekę nademną powierzył temu francuzowi, który mnie przyprowadził. Zdało mi się, że to wszystko tylko sen był, gdy się sam w kajucie znajdowałem, bo nie spodziewałem się, tak łatwo ujsć wiszącej na demną śmierci. Za chwilę przyniósł mi francuz, bo on był kucharzem zbójów, półmisek ryżu z szkopiem mięsem i szklanekę słodkiego wina. — Co z wielką chciwością pożarłem, bo mi głód już dokuczał, a powtóre, na „Helenie“ nie byliśmy tak dobrze żywieni. Kucharz ów był bardzo rozmowny, jak wszyscy francuzi wogóle, mówił, że jak pojem, to przedewszystkiem mam się wy-

spać dobrze, a przed wieczorem to mię znów odwiedzi. Potem zanucił sobie chodząc po kajucie wesołą, śpiewką tak ucieszenie i dobrodusznie, jak gdyby był najniewinniejszem człowiekiem na świecie! Wreszcie poszedł. Obłożyłem sobie potem nogę i bok mokremi szmatami i położyłem się.

Następnie starałem się zebrać myśli o wszystkim, co się ze mną w przeciągu tej jednej doby stało, lecz wkrótce zasnąłem. Nie wiem jak długo spałem i o czem mażyłem, wiem tylko, że sen miałem przerywany jakimś łoskotem nadzwyczajnem. Było słyhać jakby ludzkie kroki i brzękanie łańcuchami, potem wymieżanie ciężkich plag na gołe ciało i straszne jęki. Skoczyłem na równi nogi, dokoła było ciemno i cicho. „A to mi się tylko śniło“ myślałem sobie, czując na oczach jakby olów i chciałem się jeszcze położyć. W tem znów czach, czach i bolesne jęki! To nie było zładzenie jak mi się przedtem zdawało. Słyszałem wyraźnie wołać: „grace, grace!“ (litości, litości!) a to brzmiało tak żłośnie! Potem było słyhać głos kapitana, musiało to być coś surowego i szyderczego, co on mówił. Nie rozumiałem tego. Dalej słyszałem go liczyć razy wymieżane, przy czem śmiał się dziko i szyderczo. Myślałem coby to miało znaczyć, boć już z pewnością północ była. Kucharz, może zastał mię śpiącego i niechciał budzić, sądząc, że sen najlepszem dla mnie lekarstwem, a miał też rację bo czułem się pokrzepiony i wzmocniony na siłach. Tymczasowo karanie trwało dalej, boć co innego to chyba być nie mogło. To żalosne grace, grace, ciągle mi w uszach brzmiało. Teraz znów przyszła kolej na drugiego. Ten nie prosił, ale klął straszliwie po hiszpańsku. A herszt śmiał się jeszcze szyderczej. Pomiedzy tem brzękały łańcuchy, domyslałem się, że to jeńców tak barbarzyńsko karzą. Ostatecznie uciszyło się. Ciężkie kroki tyrana oddalały się, brzęk łańcuchami ustał także. Więźniowie rozmawiali jednak pomiędzy sobą. Nie wiem cobym był w tej chwili dał, żeby był mówił ten, co wołał grace po francuzku, ale jak na złość ten milczał a drudzy mówili tylko po hiszpańsku. Jak

po głosie mogłem rozróżnić, to było ich trzech lub czterech.

Po takim wypadku było już po mojem spaniu. Mimo tego czulem się rano wzmocniony i dosyć zdrowy. A gdy kucharz wstąpił znów z wesołą śpiewką do mej kajuty chodziłem już bez podpierania, tylko w kolanie mię jeszcze nieco bolało. Wyszliśmy na pokład, tam zaraz poznałem dla czego mnie kapitan ułaskawił. Podczas owej burzy w nocy został jego okręt znacznie uszkodzony. Liny masztowe, przedtem nie wiele co warte, były zupełnie zrujnowane, to wszystko ja miałem naprawić, bo nikt ze zbójców tego nie potrafił. Już poprzednio powiedziałem, że piraci na pokładzie, żadnego porządku nie mieli. Pracując pomiędzy linami jak tylko mogłem, miałem sposobność przekonać się, że oprócz kapitana i sternika prawie żaden z rabusiów nie był uczonem żeglarzem. Przy najmniejszej robocie byli tacy niezgrabni jak chłopak, który co dopiero pierwszy raz na okręt przyjdzie. Najprzyjemniej im było leżeć na pokładzie wygrzywając, się na słońcu.

O mnie troszczyli się nie wiele, co mi było bardzo na rękę! Tylko kucharz, ow wiecznie wesoły francuz miał jakieś współczucie dla mnie i ciągle zwracał uwagę na mnie. Z początku obawiałem go się, czyby mnie nie szpiegował, nie mogłem jednak wytrzymać, żeby go nie zapytać o ową nocną przygodę z jeńcami, co by to miało znaczyć? Pan francuz, majster kucharz, nazywał on się Leblanche, obejrzał się do koła, ostrożnie przystąpił bliżej do mnie i szeptał mi do ucha: „kapitan kazał ich okuć w żelazo, bo ci biedacy nie mogli znieść jego tyranii, więc zbuntowali się przeciw niemu, bunt powstał przed ośmiu dniami, kapitan tylko własnej sile i ostrożności zawdzięcza życie. Szkoda tych chłopców, a byli to jeszcze nasi najlepsi majtkowie. Ciekawy jestem, jak my się w ogóle bez nich obejdziemy!

Żeby ci pięciu, co teraz jęczą w kajdanach, byli na pokładzie, byłbyś ty zbyteczny i już by cie może kapitan był wysłał do wieczności!

— To nie było dla mnie bardzo pochlebne ale

otwarcie i szczerze powiedziane. Zresztą cały głos z jakim to Leblanche wypowiedział, kazał się domyślać, że on trzyma stronę jeńców. Widocznie spodziewał się odemnie jakiej odpowiedzi na to, ale ja pomyślałem sobie, nie wiesz komu można wierzyć i milczałem. Kucharz się jakoś zachmurzył i usta wykrzywił, przez co twarz jego stała się tak brzydką, aż się nie miło zrobiło. „Ej!“ pomyślałem, ten chłopiec ma swoje za uszami, trzeba go będzie bliżej poznać! Leblanche zaś odchrząknął i jeszcze raz się obejrzał dobrze na wszystkie strony i zapytał: „ile czasu potrzebujesz, żeby to wszystko do porządku przywieść, aby okręt mógł w całej pełni swoją powinność czynić?“

— Przynajmniej cały tydzień! odrzekłem bez obawy. — „Nie spiesz się zbyt“, szeptał mi jeszcze ciszej, „pamiętaj, że tydzień ten, może być ostatnim dla Ciebie, staraj się zatem, przedłużyć go sobie jak najwięcej!“ Potem zagwizdał sobie wesołą śpiewkę, jak to był jego zwyczaj i pospieszył prędko do kuchni. Wyrażniej mówić nie mógł. A w głosie jego było ubolewanie i współczucie. Nie mogło mi się w głowie pomieścić, żeby Leblanche był takim złodziejem jak ci drudzy. Nadzieja poczęła mi świtać, może przez niego uwolnię się jako z tego okropnego położenia. Gdy tak rozmyślałem nadszedł tymczasem ku mnie herszt piratów, oglądając moją robotę, kiwał głową z zadowoleniem, mruzczał coś pod nosem, czego nie mogłem dobrze zrozumieć, ale było to dla mnie coś pomyślnego.

(Dalszy ciąg w Nr. 7.)

Od Redakcyi. Oprócz podanych nazwisk na okładce, odgadnęli jeszcze zadanie z 5-go Nr. pp.: Urban Kusch, Felix Musialik i M. Karzycki. — Rozwiązania zagatki z niniejszego Nr. powinny być nadesłane do 10-go grudnia, później nadesłane nie będą uwzględnione.



FRASZKI.

Lagodząca okoliczność.

Sędzia: Pan przyznaje zatem, że tego tu urzędnika „obrzydłem galganem“ nazwałeś; czy możesz pan podać jaką okoliczność któraby, tę tak ciężką obrazę łagodniła?“

Oskarżony: „O tak! proszę pana sędziego, ten pan urzędnik sam nie wierzył w to, że jest galganem...“

Wyszło szydło z worka.

Piotr: Ja miałem takiego psa, który umiał dokładnie odróżnić złodziei od ludzi uczciwych. Każdego złodzieja zaraz kąsał w nogę.

Pawet: No i gdzie ten pies się podział?

Piotr: Musiałem go się pozbyć, bo mnie samego nieraz ugryzł.

Niebezpieczne oczy. „Ależ panie oficerze, prosiłam już, abyś pan nie palił papierosa.“ — „Pize-praszam bardzo, ale co ja mogę zato, kiedy oczy pani ciągle mi go zapalają!“

Sam się przyznał. *Sędzia:* „Skarżycielu, pan słyszysz jak się oskarżony tłumaczy, że było ciemno, a on będąc napity nie poznał pana!“

Skarżyciel: „Nie prawda! proszę pana sędziego, on mnie dobrze poznał, bo prosto na mnie szedł i krzyczał: ty osłe! ty trąbo!“

Przyjemne uczucie. Pewnego parobczaka elektryzował lekarz. „No Janku, jakież uczucie wywodził w tobie ten aparat?“ — *Janek:* „Tak mi przez wszystkie członki przeszło, jakbym, proszę panu doktora, moją Kaśkę oblapił!“

Ktoby chciał popróbować swego humoru w „Miesięczniku“, ma do tego sposobność. Będą się także umieszczały humorystyczne, wesole korespondencje, ale tylko takie, które czytelnika będą zdolne do śmiechu pobudzić.

Rozwiązanie Zagadki z Nr. 5-go

Mądrej głowie — daj na słowie!

Trafne rozwiązanie nadesłali, do 10-go b. m. pp.
E. Tasler, Józef Dyrda, Jan Pakosz, Teofil Szoltysek,
Kasper Bednarczyk, Karol Wacławczyk i M. A. Gorell.

Z a g a d k a.

Hola! hola! co to za panisko;
Tak do góry zadarte nosisko.
Fe! taka najeżona czupryna;
A, do licha! jak się to nadyma.
Zimą, latem, czy słońce, czy ślota,
Ma z tyłu parasol niecnota.

Za trafne rozwiązanie przeznaczamy jako nagrodę,
ładny Kalendarz na rok 1890, dla trzech osób, którym
los przeznaczy, pomiędzy nadsyłającemi rozwiązanie.

„MIESIĘCZNIK”

wychodzić będzie nadal **co miesiąc (15-go) jeden**
zeszyt po cenie 15 fen. Zamówienia nadsyłać należy
pod adresem:

Fr. Schwider w N.-Piekarach (p. Scharley.)

Komu dogodniej, może także zamawiać na pocze-
cie po cenie **45 fen. kwartalnie.**

Zeszyty pierwszy i następne można jeszcze naby-
wać u wydawcy.